

Wcale **nie** **takie** brzydkie kaczątko

Z Bogusławą Sochańską rozmawia Jarosław Mikołajewski



Chciałbym zacząć od pani tak zwanej oryginalnej twórczości.

Oryginalne jest, mam nadzieję, wszystko, co piszę. Tłumaczenia również. Przecież przekład nie jest pracą odtwórczą. Jest stwarzaniem dzieła na nowo – w języku innym niż ten, w którym powstało. Pisałam też wiersze, ale sporadycznie. Tylko pod wpływem najsilniejszych życiowych bodźców, jak miłość albo dzieci. Drukowałam je, ale nie pod nazwiskiem.

Bo to ryzyko?

Przyczyn jest więcej i są nazbyt prywatne, by o nich mówić. Choć rzeczywiście ryzyko istnieje. Że ten, kto pisze pod wpływem życia, osunie się w sentymentalizm czy kliwłość. Ale nie potrafiłabym pisać w oderwaniu od przeżyć. Nie umiem też czytać z uwagą wierszy zbudowanych na chłodno. Nawet najlepiej osadzonych w formie, jeżeli nie ma w nich treści. Jest taki wiersz Janiny Katz, który bardzo lubię. Niby o dymku z papierosa, czyli rzeczy błażej. Ale tak naprawdę jest to wiersz o przejmującej samotności.

Od poezji oczekuję spraw, którymi żyjemy, jak wiara czy relacje z innymi. Stanów duszy i ciała. Nie wiem zresztą, czy będę jeszcze pisała wiersze, czy nie. To przychodzi bez uprzedzenia, zniemacka. Jak kiedy umarła przyjaciółka, a ja zwyczajnie musiałam napisać wiersz. Tak zwane pisarskie plany mam więc nie co do poezji, lecz prozy.

Od jakiegoś czasu nie mogę się uwolnić od myśli, że literatura jest najpełniejszym świadectwem świata i życia. Nie tylko naszego indywidualnego losu. Również tych, które nam powierzono i które się w nas krzyżują. Losów ludzi, którzy z jakiegoś powodu stali się nam bliscy i wspominają coś czasem o sobie w naszej obecności. Myślę na przykład, że moje dzieci pochodzą z rodzin, które doświadczyły większości ważnych wątków historii Polski, a niezupełnie zdają sobie z tego sprawę. Część ich przodków pochodziła z Wielkopolski, część z Podola, inni z Wołynia i Litwy. Uczestniczyli w powstaniach XIX i XX wieku, od listopadowego po warszawskie, przeszli przez Syberię i Auschwitz. Chciałabym opisać ten wspólny los, dla moich dzieci, i muszę się spieszyć. Nagrałam relacje niektórych członków rodziny, ale niektórych już nie nagram, bo umarli.

Znalazła pani jakiś dobry klucz?

W założeniu moja opowieść musi być strawna dla młodego pokolenia. Podana w krótkich, dość luźno powiązanych ze sobą fragmentach. W całości oparta na faktach, ale wykorzystująca całą nieprawdopodobną atrakcyjność, jaka kryje się w prawdziwych zdarzeniach. Być może opatrzona przypisami czy komentarzami historycznymi. Bo dzieci nie wiedzą już, że w ogóle mogą dziać się rzeczy tak trudne i niezwykle, jak na przykład los mojej Mamy: po wojnie szukała w Austrii swojego brata, dorosłego człowieka, który po wszystkich strasznych doświadczeniach ważył tyle co dziecko. Że go znalazła, przywiozła do Polski, a potem patrzyła bezradnie, jak umarł. Albo podróż mojej teściowej w 1945 roku, z pianinem i babcią unieruchomioną w łóżku, z Łucka do Żagania i z powrotem, do Lublina, wśród gwałtów i innych potworności. A wszystko trzeba opowiedzieć tak, żeby z daleka omijać pułapki martyrologii. Z humorem i czułością dla życia.

Pięknym fragmentem pani twórczości jest pisanie o literaturze, choćby wstęp do Dzienników Andersena.

Dziękuję. Zrodziło się to, oczywiście, z fascynacji Hansem Christianem, no i Danią.

Właśnie: jak to się wszystko zaczęło? I kiedy?

W połowie lat siedemdziesiątych. Mieszkałam w Lesznie...

Jak Grochowiak.

Tak, i chodziłam do tego samego liceum, co on. Znacznie później, rzecz jasna. Chcę powiedzieć, że dla naszej prowincji Skandynawia

to była egzotyka, i nie miałam w rodzinnych stronach bezpośredniej zachęty, żeby wybrać studia ukierunkowane na języki tamtej części Europy. Chciałam studiować anglistykę, ale angielski już znałam, a okazało się, że właśnie otwierają nabór na duński, więc zajęłam się nim bez żadnej merytorycznej czy bardziej istotnej motywacji. Potem zostałam na uczelni i wpadłam w Danię i w duńską literaturę po uszy, zaczęłam wykładać...

W Danii, prócz literatury, ujęło mnie samo społeczeństwo. Spółność, w jaki funkcjonowało. Dania wydała mi się ideałem organizacji społecznej, a Duńczycy – ideałem obywateli. Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, była ich uczciwość i odpowiedzialność. Teraz już to wygląda inaczej, ale wtedy, i jeszcze dwadzieścia lat temu, można było zostawić przed domem rower i mieć pewność, że nikt go nie ukradnie. Na ulicy nie było śmieci.

Z czego to wynikało?

Chyba z głębokiego przeświadczenia, że każdy człowiek ma wpływ na społeczną jakość życia. Przeciętny Duńczyk wciąż należy do dwóch co najmniej organizacji społecznych i regularnie chodzi na zebrania. Kiedy ktoś potrzebuje pomocy, to mu się pomaga – tę zasadę znajdziemy również w biografii Andersena. Kiedy jako czternastolatek przyjechał do Kopenhagi i nie miał środków do życia, bogaci ludzie złożyli się na jego skromne mieszkanie i podstawowe wyżywienie. Ujęły mnie idee pastora Grundtviga, twórcy uniwersytetów chłopskich, który na początku XIX wieku zaszczepił ideę kształcenia ustawicznego. Na trwałe, bo Duńczycy do dziś bez przerwy się szkolą i wiedzą, że jeśli zapiszą się na jakiś kurs, języka angielskiego czy szycia, zapłacą tylko 1/3 ceny.

A resztę?

Po połowie gmina i państwo. Dzięki temu poziom wykształcenia jest w Danii o niebo wyższy niż w Polsce.

Czy znalazła tam pani mistrzów?

Mistrz to jest duże słowo, i wiąże je z ludźmi, którzy wywarli na mnie wpływ przed studiami. Z Mamą i nauczycielem języka polskiego w liceum. Gdy zaczynałam studia, skandynawistyka była nowym kierunkiem, uczyli na niej młodzi ludzie, sami świeżo po studiach. Owszem, byli też Duńczycy, lektorzy, od których mogłam się dużo dowiedzieć, ale spełniali raczej rolę pierwszych przewodników, nie mistrzów. Z kolei w Danii studiowałam niedługo, brałam udział w letnich kursach językowych, a w czasie półrocznego stypendium miałam tylko sporadyczne kontakty z wykładowcami, studiowanie polegało na pracy własnej, w tym czasie moje poglądy i myślenie kształtowały przede wszystkim lektury.

Mama była dla mnie absolutnym ideałem, wzorcem i najbliższą mi osobą. Z wykształcenia i z nadania losu – była księgową. Pogodna, ciepła i pracowita do granic możliwości, podobnie zresztą jak Ojciec, nigdy nie prawila kazań. Uczyła życia, opowiadając tysiące historii. Wiele z tych opowieści, zwłaszcza z czasu wojny, wciąż noszę w pamięci, i to na nich głównie chcę zbudować książkę, o której wspomniałam. Jeśli tego nie zrobię, los Mamy zniknie na zawsze, a życie moich dzieci i wnuków będzie uboższe.

Profesor Edward Janusz uczył polskiego w leszczyńskiej Jedyńce. Nawiasem mówiąc, założonej przez Comeniusa w 1555 roku na zlecenie Sułkowskiego, właściciela Leszna. Kilkanaście lat temu ze zdumieniem zobaczyłam na szkolnej legitymacji, że moje liceum nosiło imię Ludwika Waryńskiego! Jakoś to chyba wypieraliśmy, bo chodziło się zawsze „do Komeńskiego”, i już. Wracając do profesora – był człowiekiem pogodnym, nauczycielem rzetelnym i zaangażowanym. Miałam niejasne wrażenie, że zaplątał się w to nauczycielstwo przypadkiem, że może był poetą, któremu nie dane było spełnić się w tej roli... To za jego sprawą w każdą sobotę

wczesnym rankiem, przed lekcjami, wystawałam pod kioskiem Ruchu, żeby zdobyć „Kulturę”, „Politykę” i „Życie Literackie”. Marzeniem było zdobycie „Tygodnika Powszechnego”, bo ten trafiał tylko do rąk szczęśliwców, którzy mieli w kiosku „teczki”. Szczęśliwcy mieli też w teczkach „Przekrój”, który sporadycznie udawało się jednak kupić.

Lekcje u profesora Janusza to były nieustające dyskusje na wysokich rejestrach. Wywoływał je jakby od niechcenia. Niby sam sobie zadawał jakieś pytanie, zawieszając głos, drapał się palcem w brodę, z wrokiem utkwionym w niebo za oknem – i nagle, bez słowa, błyskawicznie, pytając wbijał wzrok prosto w oczy. I stawało się oczywiste, że trzeba zabrać głos. To on mnie tego nauczył: rozważania, wyważania, relatywizowania. Stawiania pytań. Zadawał nam też niezliczone ilości wypracowań. Nie rozprawek, jak u innych nauczycieli, ale swobodnych wypowiedzi – bez sztywnych ram, bez ograniczeń, bez stałych elementów, jak „wstęp, rozwinięcie i zakończenie”. Można było poszaleć. Cenił i rozwijał wyobraźnię i styl, namawiał mnie na jakieś literackie konkursy, z czego nic nigdy nie wyszło, bo mimo wiary, jaką mieli we mnie Mama i on, ja sama jakoś tej wiary wtedy wykrzesać nie potrafiłam.

Oboje mi sprzyjali, więc zanim z drżeniem serca wręczałam wypracowania Profesorowi, dostawała je do przeczytania Mama. Często zresztą omawiałam z nią wcześniej sposób potraktowania tematu, a gdy tekst był gotowy, niemal zawsze proponowała jakąś zmianę. Lubiła zwłaszcza podkreślać styl – siedział w niej zakodowany przedwojenny styl wysoki. Pamiętam, że miałyśmy często różne zdanie, ale to właśnie w czasie tych dyskusji dojrzywała moja koncepcja tekstu. Te wypracowania i dyskusje na lekcjach polskiego to chyba moje najważniejsze doświadczenie z liceum. A rozmowy z Mamą? – bez nich by mnie nie było.

Ktoś powiedział, że tłumaczy pani z „języków skandynawskich”. Czy to jest w ogóle możliwe?

To niezwykle trudna dla mnie kwestia, bo są osoby, zresztą w każdym kraju, tłumaczące „z języków skandynawskich”. Mam dość radykalny pogląd na tę sprawę. Tłumacząc wyłącznie z duńskiego nie tylko dlatego, że na więcej nie ma miejsca w moim kalendarzu – pracuję przecież etatowo co najmniej osiem godzin dziennie – ale przede wszystkim dlatego, że tylko ten spośród języków skandynawskich znam naprawdę dobrze. A przecież wciąż jeszcze się go uczę, od trzydziestu pięciu lat, przez cały ten czas pracując z nim na co dzień. Przez piętnaście lat uczyłam na skandynawistyce, pięć lat mieszkalam w Danii, i wciąż mnie coś zaskakuje: jakiś „falszywy przyjaciel”, jakieś nieznanne mi jeszcze albo już niewystępujące w języku słowo czy zapomniane znaczenie. I wciąż zdarzają mi się błędy. Mogę, oczywiście, czytać i rozmawiać po norwesku i szwedzku, podobnie jak po angielsku, i (słabiej) francusku, niemiecku – ale tłumaczenie tekstu literackiego to zupełnie inna para kaloszy! Im dłużej zajmuję się tłumaczeniami, tym większą mam tego świadomość. Każdy kolejny tekst czegoś mnie uczy, w każdym odkrywam nowe pokłady znaczeń i niuansy stylu. Tych nie zawsze widocznych na pierwszy rzut oka cech własnego języka każdego z autorów, każdego z utworów, nie da się rozszyfrować z pomocą słownika, choć oczywiście w pracy nad przekładem literackim bez słowników ani rusz. Myślę, że gdybym się wzięła za tekst szwedzki albo norweski, to miałabym poczucie, że oszukuję, poruszałam się po omacku, domyślałam znaczeń, byłabym narażona na tysiące interferencji, i nie sądzę, żeby udało mi się trafić nie odczytać indywidualny styl pisarza. To tak, jakbym miała tłumaczyć ze słowackiego tylko dlatego, że jestem Polką. Cóż z tego, że dogadam się ze Słowakiem i z pomocą słownika zrozumieć

słowacki tekst. To jest kwestia poczucia odpowiedzialności – albo strachu, jak kto woli. Specjalista od języka to ktoś, kto reprezentuje ten język i jego kulturę, mówiących nim ludzi. Jest odpowiedzialny za przeniesienie nie tylko prostego znaczenia, lecz również klimatu, zapachu słowa. Musisz tkwić w tym języku przez lata. Musisz znać jego żywioł, musisz też znać jego historię, a także historię kraju, literatury, uwarunkowania kulturowe, musisz dobrze rozumieć mentalność ludzi i ich sposób myślenia i odczuwania.

Nie można więc być młodym znakomitym tłumaczem?

Nie bardzo w to wierzę. Do tego się dorasta, dojrzewa latami w miarę obrastania w wiedzę i doświadczenie. Gdy niedawno wydobylałam z komputera przetłumaczoną w latach osiemdziesiątych książkę dla dzieci należąca do kanonu duńskiej literatury tego gatunku, byłam zdumiona, że to moja praca!

Jak wyglądają przekłady z języków skandynawskich wśród duńskich tłumaczy?

Tylko nieliczni tłumaczą także ze szwedzkiego lub norweskiego. Znana pisarka Helle Helle mówiła mi, że trudniej jej tłumaczyć ze szwedzkiego niż z angielskiego. Oczywiście, może ktoś bardzo zdolny potrafi zgłębić wszystkie języki skandynawskie, mnie nie udało się chyba uchronić od mieszania ich – nie wiem. Weźmy przykład znanego przedwojennego skandynawisty, profesora Stanisława Sawickiego, wymienianego w tzw. iwaskiewiczowskim wydaniu baśni Andersena jako współtłumacz. Stefania Beylin zaprosiła go do współpracy w nadziei, że będzie on gwarantem wierności jej przekładu – tłumaczyła z niemieckiego – tymczasem on nie był w stanie rozpoznać humoru, ironii, aluzyjności tekstów Andersena ani stylu jego dialogów. Przekład powstał, znaczenia słów mniej więcej się zgadzają, a raczej często się nie zgadzają, ale istota stylu Andersena i kluczowa kwestia adresata jego baśni i opowieści pozostała w oryginale duńskim.

Jednak baśnie w przekładach Stefani Beylin i Jarosława Iwaskiewicza rozpoznano u nas jako wielką literaturę.

Owszem, ale wyłącznie dla dzieci! A przecież tyle w nich jeszcze pokładów innych znaczeń i smaków. Czyli – tłumaczyć można dowolną metodą, pozostaje tylko kwestia, co z tego wyjdzie. A powszechnych u nas opinii, że „przekład jest dobry, gdy się go dobrze czyta” oraz „przekład jest albo wierny, albo piękny”, nie chce mi się w ogóle komentować. Na szczęście epoka wyznawców tych prawd powoli odchodzi do przeszłości.

A kategoria lojalności?

To w istocie kwintesencja relacji tłumacza do tłumaczonego dzieła i jego autora. My, tłumacze, jesteśmy im to winni. Ale to wymaga pokory. I dyscypliny. Nazywa się to pięknie lojalnością, ja zwykle mówię po prostu o wierności – ale wtedy jest ryzyko niezrozumienia („przekład jest albo wierny, albo piękny”), bo laicy wierność rozumieją jako dosłowność. Więc tak, lojalność! Przekład nigdy nie jest odwzorowaniem oryginału jeden do jednego, bo to niemożliwe, on żyje nowym życiem, nic na to nie poradzimy, ograniczają nas normy naszego języka, ale tłumacz musi zrobić, co się da, by ten nowy kształt utworu był jak najbliższy oryginałowi, trzeba wejść w buty i w duszę autora, mówić jego językiem, zapomnieć o swoich nawykach (ile się nawalczę choćby z moim ukochanym „rzecz jasna!”). **Jaki był bezpośredni powód, dla którego postanowiła pani tłumaczyć baśnie Andersena?**

Właśnie ten, o którym wspomniałam przed chwilą – że arcydzieła, tak różnorodne, bogate i niejednoznaczne jak jego baśnie i opowieści, były u nas traktowane jak opowiadania dla dzieci. Andersen pisał z myślą i o nich, i o dorosłych, na tym polega jego fenomen. Polski dorosły czytelnik przyzwyczajony do myślenia

o Andersenie jako o „bajkopisarzu” musi jednak najpierw otworzyć się na niego, przyjąć do wiadomości, że te utwory mają coś do powiedzenia także jemu. Andersen najczęściej czytał je dorosłym, dzieciom rzadziej, jeżeli już, to dzieciom zaprzyjaźnionych rodzin.

Nie lubił dzieci?

Lubił, i to bardzo. I łatwo znajdował z nimi wspólny język. W odróżnieniu od większości współczesnych mu dorosłych potrafił przyjąć perspektywę dzieci i bawić się z nimi. Brał nożyczki, wycinał postaci, układał wokół tych postaci historie. Ale jego baśnie, choć często są zabawne (proszę przeczytać *To pewna wiadomość!* w *Dziennikach* widać, jak bardzo Andersen lubił czytać ten utwór na głos), to literatura poważna, powiedzielibyśmy dziś, że egzystencjalna.

Nie rozumiemy tego właśnie przez jakość przekładów?

Jakość przekładów zdecydowała przede wszystkim o tym, że umknęła nam literacka wartość tych utworów, a także ich dorosły adresat, że nie dochowując wierności stylowi autora i jego zamysłom (humor!), zmieniono ich kwalifikację. To tak, jakby autor został okradziony z części swoich atrybutów. Ale dla mnie oczywiste jest także to, że zubożono również jego przesłanie. Że coś jest nie tak z tłumaczeniami na polski, zorientowałam się, czytając baśnie czworgu swoim dzieciom. Czy studenci, którym w związku z wykładami dawałam do czytania utwory oryginalne, rozumieli, o czym ja w ogóle mówię – nie wiem, baśnie Andersena niełatwo czytać na wstępnym etapie zaawansowania językowego, a na pewno nie da się wówczas wyczytać w nich wszystko. Zresztą zdarzało się, że sama odkrywałam pewne niuanse dopiero na etapie tłumaczenia. A zaczęłam tłumaczyć, gdy porównywanie tekstów polskojęzycznych z oryginalnymi pokazało, jak bardzo się różnią. Beylin tłumaczyła z niemieckiego, ale Iwaszkiewicz z duńskiego. Mam co do tego spore wątpliwości, mówiąc bardzo oględnie.

Sam chyba podał taką informację.

I ta informacja moich wątpliwości wcale nie rozwiewa. Łatwo wskazać miejsca, gdzie błędy w tłumaczeniu Iwaszkiewicza są zbieżne z błędami w przekładach na niemiecki. Ale najważniejszym argumentem jest sam polski tekst. To, że tak wiele traci na wieloznaczności. Baśń *Motyl*, w warstwie przeznaczony dla dorosłych zabawny żart pisarza ze starokawalerstwa, kończący się zresztą pokpiwaniem z małżeństwa, to w przekładzie Iwaszkiewicza wyczyszczona z tych właśnie treści opowiadka dla dzieci – które w moim przekładzie, rzecz jasna, też mają przeznaczoną dla siebie opowiadkę. Chciałam oddać sprawiedliwość Andersenowi, wielkiemu pisarzowi.

Co na przykład chciała pani uprzytomnić polskiemu czytelnikowi?

Można by o tym długo, lecz weźmy rzecz bodaj najprostsza – humor. Ci, którzy czytali przekłady Beylin albo Iwaszkiewicza, powtarzają z upodobaniem, że baśnie Andersena to „piękne, smutne utwory o śmierci”. A o nim samym mówią jako o pisarzu „smutnym”. Już takie uproszczenia pokazują, że polski czytelnik ma kłopoty z rozumieniem autora. Dlaczego nie dostrzega się w baśniach wiary w szczęście, miłość i dobro – wbrew wszystkiemu, co może przytrafić się człowiekowi? Z żadnej innej prozy nie wyczytałam o nich tak wiele, jak u Andersena. Kiedyś przetestowałam, którą baśń w Polsce pamięta się najlepiej...

Dziewczynkę z zapałkami?

Oczywiście. A dlaczego? Bo umiera w niej biedna dziewczynka. A przecież śmierć biednego dziecka jest w niej tylko pierwszym impulsem wzruszenia. Za nim otwiera się wielka refleksja o życiu i śmierci w ogóle. O czymś takim jak zgoda na los. Jakimś dziwnym

trafem ja, która czytałam *Dziewczynkę z zapałkami* w duńskim oryginale, wychodzę z lektury tej baśni wzmocniona, bardziej pogodzona ze śmiercią. Bo widzę, jak subtelnie ten literacki gigant pokazuje mi przejście do lepszego świata. Literatura to nie jest kazanie, tylko pokarm, nadzieja. Andersen nigdy nie poprzestaje na jednym temacie i na jednym znaczeniu. Dlaczego więc nie miałabym pokazać czegoś więcej w rzetelnym przekładzie? W imię bezmyślnego respektu dla wielkiego nazwiska Jarosława Iwaszkiewicza?

Oddała pani teraz do druku duży wybór *Dzienników Andersena*. Czy jego osobiste zapiski potwierdzą, co i tak wiemy?

Czyli?

Że już go znamy, bo czytaliśmy *Brzydkie kaczątko*.

No tak... Nie dziwię się temu, co pan mówi, bo tak widzi go również bardzo wielu Duńczyków, i to badaczy jego twórczości, zwłaszcza tych z nurtu marksistowskiego.

Andersen był na pewno obciążony kompleksem niskiego pochodzenia społecznego. Ale czy *Brzydkie kaczątko* to tylko metafora złego losu i przemiany? Czyż nie jest opowieścią o tym, że obdarzony przez Boga może być każdy, nawet syn szewca? Czy naprawdę nie da się dostrzec w tej baśni bardziej złożonej nauki bądź intuicji? Tego, że los bywa okrutny, lecz posiadamy oręż transcendencji? Czasami jestem w szoku, kiedy słyszę, że był człowiekiem próżnym. Czy wie pan, skąd wzięta się ta opinia? Między innymi stąd, że chętnie dbał o siebie, o higienę i wygląd. Mówi się też, że był brzydki. A ja się pytam: według jakich kanonów? Dlatego, że miał ponadprzeciętny wzrost? Że nosił buty w dużym rozmiarze? A może dlatego, że miał duży nos? Śmiesz mnie to wszystko. Nie chciałam, żeby obróciło się przeciw Andersenowi to, że w *Dziennikach* był szczery.

A był?

Oczywiście, bo pisał je nie dla innych, tylko dla siebie. Gdyby pisał dla siebie, nie wspominałby o plamkach, które zobaczył na swoim penisie. O tym, że boli go noga. W całych dziennikach o bolącej nodze pisze kilkanaście razy, ja wybrałam jedynie przykłady podobnych zapisków, żeby pokazać, że dręczyły go również i takie rzeczy. Ale pisał o wszystkim, o penisie i bólu nogi, i o sprawach, które uważamy za poważne.

O religii?

Także. Bardzo często i bardzo głęboko. Lecz nieretorycznie, bo z gruntu antyretoryczna jest natura dziennika pisanego dla siebie – prywatna, szczerza, gnomiczna. On pisze, o czym chce, spontanicznie, pod wpływem chwili, bez założeń, a my czytamy z jego zapisków głęboką religijną inspirację. Na przykład to, że w sposób naturalny jego, protestanta, ciągnęło do katolicyzmu. W pewnym fragmencie zastanawia się, że jeśli Maryja jest Matką Chrystusa, to przecież, wbrew temu, co mówi jego wyznanie, ona naprawdę może pośredniczyć pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Ale po chwili sam siebie karci. „Boże, co ja mówię”, szepcze, i się wycofuje.

Dostajemy więc arcydzieło?

Każdy ma prawo pomyśleć tak o *Dziennikach*, ale ja tak o nich nie powiem. To coś innego, może coś znacznie więcej niż literatura: kawał prawdy o człowieku i jego wielowymiarowej pełni.

O każdym człowieku?

Zwłaszcza o nim: o Hansie Christianie Andersenie. Ale czy ludzie tak bardzo różnią się między sobą? Jak wszyscy, miał zalety i ułomności. Jak wszyscy, ale po swojemu, walczył z grzechem i niedoskonałością, z problemami wewnętrznymi i tymi, które stawiał przed nim świat. A przez to *Dzienniki* są również świadectwem świata i epoki, w której żył. Która, choć nazywano ją „złotą”, wcale nie była łaskawa. Historia nigdy nie jest łaskawa dla ludzi.

Dzienniki, z przypisami, indeksem i wstępem, to dzieło ogromne. Czy coś przez nie pani zaniedbała?

Jeszcze nie zrobiłam pełnego rachunku sumienia, ale jedna strata natychmiast mi przychodzi do głowy: Janka Katz.

Czy to po jej śmierci napisała pani wiersz?

Tak.

Kim była?

Pisarką, poetką, tłumaczką, postacią. Przyjaciółką, o którą powinienam się upomnieć. Oddać jej sprawiedliwość, jak Andersenowi. Przez półtora roku Janka prosiła mnie, żebym odłożyła na chwilę *Dzienniki* Andersena i przetłumaczyła jej kolejną, czwartą powieść. „Bogusiu?”, pytała zawieszając głos. Doskonale pamiętam melodię tego „Bogusiu”. A dla mnie Andersen był wtedy, niestety, ważniejszy. I teraz trudno mi się z tym żyje.

Jak się panie poznałyście?

W 1995 roku, w Kopenhadze, kiedy zostałam attaché kulturalnym ambasady. Znałam już jej tłumaczenia wierszy Różewicza i Szymborskiej wydane w Danii w 1982 roku, spotykałam jej teksty w „Kulturze” paryskiej. Czytałam w „Tygodniku Powszechnym” opowieść o początkach jej pracy tłumaczki. Podkreślała, że wielką polską poezję tłumaczyła we współpracy z duńskimi poetami. A potem już szybko zorientowałam się, że jest wielkim ambasadorem kultury polskiej. Szkoda, że nie dostała Transatlantyku, regularnie zgłaszałam ją do tej nagrody.

Jak trafiła do Danii?

Wyemigrowała w 1969. Pod wpływem antysemitki nagonki, choć twierdziła, że bezpośrednio nie uległa prześladowaniom. Jako dziecko Holokaustu doświadczyła wiele. Z wielkim bólem nosiła w sobie kompleks podwójnej tożsamości. Bo uratowała ją katolicka rodzina, ona pokochała swoją nową matkę, a po wojnie zgłosiła się po nią matka naturalna. Ona nie chciała matki-Zydówki, była przywiązana do tej, którą znała dłużej. Stąd później jej wielkie cierpienia i poczucie winy, które powracały w całym jej piarstwie. Spotęgowane tym, że kiedy matka przyjechała do niej do Kopenhagi, nagle upadła i umarła, kiedy Janka była w pracy, w Bibliotece Królewskiej.

Czy w Danii była osobą znaną?

Znakomicie, i to nie jako tłumaczka, lecz jako pisarka. Jej przekłady Herberta czy Szymborskiej znało może kilka tysięcy ludzi, jej własne książki, wiersze i powieści – znacznie więcej. Jej opowieść o rodzinie, *Moje życie barbarzyńcy*, uznano za najlepszą duńską książkę 1993 roku. Jest to książka o niej samej: o ocaleniu autorki przez małżeństwo Kapłańskich w Dobczycach pod Krakowem. O dramacie matki, która po powrocie z obozu usiłowała odzyskać miłość córki. O rozdarciu dziecka między dwie matki. Psychologiczna autoanaliza, a równocześnie świadectwo z czasu wojny i okresu powojennego w Krakowie.

Napisała kilka świetnych powieści i zbiorów opowiadań, kilkanaście zbiorów wierszy. Miała szczęście do nominacji do ważnych nagród, ale nie do samych nagród, choć otrzymała najważniejsze nagrody państwowe. Niedługo przed śmiercią w 2013 roku dowiedziała się o nominacji do najważniejszego skandynawskiego wyróżnienia, zwanego tam „małym Noblem”: Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej 2012 za tomik wierszy *Skrevet po polsk* (Pisane po polsku). Nominacja do tej nagrody przypieczętowała pozycję Janiny w czołówce duńskich pisarzy.

Pisała po duńsku?

Tak. Janka znała duński świetnie, choć mówiła z akcentem, który zdradzał, że nie jest to jej język ojczysty. Czytała swobodnie, ale pisząc, konsultowała tekst z Duńczykami.

A dlaczego wybrała ten język?

Bo była ambitna. Postawiła sobie takie zadanie, i dopięła swego. Jej poezję wyróżniała wstrzemięźliwość, pod którą czuło się potężne doświadczenia i emocje. To samo można znaleźć w jej prozie. Wierszom i prozie Janki Katz szczególnie styl nadawało to, że niekiedy tłumaczyła polskie metafory na duński, bezpośrednio – co dawało efekt piękny i nieokreślony.

Jaki był jej stosunek do Polski?

Choć z kraju wyгнаła ją antysemitka nagonka, nie dawała się podpuszczać tym, którzy chcieli, żeby źle mówiła o Polsce. Zawsze powtarzała, że nie może źle mówić o ludziach, którzy ją uratowali. Wyjeżdżając, nie starała się o paszport emigracyjny, tylko o turystyczny, chciała zostawić sobie otwartą furtkę. Uwielbiała Kraków i z miłością opisywała go w książkach. Jej żywiołem było krakowskie życie artystyczne.

Duńscy dziennikarze uwielbiali przeprowadzać z nią wywiady. Wiedzieli, że rozmowa będzie szczerą, że będzie w niej ogień, ironia, cięty język i humor, a przy tym mądrość. Podkreślała, że jest Polką i Żydówką, a Polska to jej ojczyzna. Wypowiadała się, rzecz jasna, krytycznie o PRL-u. Po zmianie systemu krytykowała tylko rząd pis-u, i wkrótce z ambasady przestały przychodzić zaproszenia. Kiedy w 1996 dostała odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej, cieszyła się jak dziecko i nosiła ją przy każdej okazji. Podobnie uszczęśliwiła ją w 2009 roku literacka nagroda „Odry”.

Czy tłumaczyła pani jej książki?

Z Janką było tak jak z Andersenem. Kilka lat szukałam wydawcy, publikowałam, gdzie się dało, fragmenty prozy, wiersze, rozmowę z nią. Nie wiedząc, jaki będzie tego skutek, przetłumaczyłam *Moje życie barbarzyńcy* i połowę *Pucki*. Miałam imperatyw: te książki musiały się ukazać. Nie wyobrażałam sobie, żeby pisarka tak znacząca dla polskiej kultury – nie mówiąc o duńskiej! – u nas nie zaistniała. Trzecia powieść już musiała czekać na mnie, ale wiersze, wybór, który zrobiłam z jedenastu duńskich tomików Janki, leżały siedem długich lat, nim znalazły wydawcę w „Bibliotece Śląskiej”. Teraz czas na czwartą powieść, potem jeszcze jedną, ostatnią, no i znakomite opowiadania.

Co, prócz Andersena, chciałaby pani dla nas przelożyć?

Przede wszystkim z Andersenem jestem dopiero w połowie drogi, mam jeszcze bardzo poważne plany. Tylko tak strasznie mało na to wszystko czasu! Od lat co jakiś czas powracam do Inger Christensen, nieznaney u nas, znakomitej poetki. Po latach pisania poezji systemowej – niezwyklej, przejmującej! – zaskoczyła wszystkich cyklem przepięknych, mądrych sonetów. Przetłumaczyłam już sporo jej wierszy, dojrzewając, czekając na swój czas. Zresztą wiersze innych duńskich poetów także, ale Inger Christensen jest moim priorytetem.

Mam też zadanie na teraz: znaleźć wydawcę dla niezwyklej powieści Petera Høega *De måske egnede*, której musiałam nadać tytuł *Nieprzystosowani*. Przekład jest gotowy, ze względów merkantylnych książkę skreślono z planu jednego z wydawnictw. To najtrudniejsza rzecz, jaką tłumaczyłam, trudniejsza nawet od baśni Andersena! Antysystemowa, również w warstwie językowej (interpunkcja nie gramatyczna, ale logiczna), w dużych partiach napisana językiem dziecka z marginesu społecznego, opowiada o eksperymencie społecznym polegającym na umieszczeniu dzieci pokiereszowanych przez los w elitarnej szkole. Opowiada o rzeczach strasznych, podważa sens systemu edukacji w ogóle, to książka o wolności i o godności. I o okaleczonym dzieciństwie. Ukazała się w 1992 roku i przetłumaczono ją na kilkanaście języków. Wydaje mi się, że teraz właśnie jest na nią u nas czas. ●